

## Moje wspomnienia

**K**iedy sięgam pamięcią w odległą i z każdym dniem bardziej oddalającą się przeszłość i myślę o czasach mej służby zagranicznej w Niemczech, a w szczególności w okręgu konsularnym Pily, ogarnia mnie dziwne uczucie. Czegoś tak niesamowitego, czegoś tak sztucznie i wbrew rozumowi stworzonemu, że po prostu raczej śmiać się chcę, jak myśleć poważnie o rzeczach, które jednak mimo takiego podejścia, były pełne wagi i znaczenia politycznego. Niemcy zawsze, a w szczególności w czasach po I wojnie światowej celowali w tworzeniu kombinacji i teorii fabrykowanych wedle potrzeb sytuacji politycznej, a nie mających podstaw w rzeczywistym i uzasadnionym stanie rzeczy. Nauka i myśl, którą w cudzysłowie nazwać mogę „polityczną”, stwarzały takie twory i takie tezy, że jedynie traktując je jako wytwory realne, nierealnych planów i założeń, można było traktować je jednak jako rzeczy poważne. Oczywiście w tym tylko znaczeniu „poważne”, że istniejące wbrew oczywistej logice i potrzebom życia.

Z takim to sztucznym tworem założeń politycznych było mi danym spotkać się w życiu, bacznie śledzić przez lat parę jego koncepcję i rozwój, po to, aby dojść do przekonania, że twór ten w samym fakcie swego istnienia, mieści dowód, iż istnieć nie powinien i musi ulec zwycięskiemu zawsze prawu celowości i rozumu w naturze.

Traktat pokoju podpisany w Wersalu, pamiętnego 28 czerwca 1919 r. wszedł w życie z dniem 10 stycznia 1920 r. Z tym dniem wojska niemieckie wycofały się poza linię nowej granicy, a wojsko polskie i władze polskie objęły rządy na obszarze zwróconym Polsce po długich latach niewoli.

Obszar ten administracyjnie obejmował całą niemal pruską prowincję poznańską oraz obszary rejencji bydgoskiej i gdańskiej. Ale linia graniczna nie pokrywała się w zupełności z linią granic tych okręgów administracyjnych i pozostawiała poza nowym pasem granicznym pewne stosunkowo niewielkie obszary, które zostać miały przy Niemczech. Były to – od północy idąc – powiat Człuchów z rejencji gdańskiej, powiat Złotów z rejencji bydgoskiej (części tych dwu powiatów zostały po polskiej stronie), powiat Wałcz, miasto Piła, część powiatu Czarnkowskiego, z której Niemcy stworzyli nowy powiat Trzcianka, powiat Skwierzyna, powiat Międzyrzecz, powiat Babimost i powiat Wschowa – te wszystkie z prowincji poznańskiej. Były to wszystko ziemie przygraniczne, skrawki od 5 do 30 i paru kilometrów szerokości, podzielone na trzy odrębne sektory, nie mające ze sobą żadnej innej więzi gospodarczej, jak tylko przymusowy podział administracyjny, pozbawione przemysłu, poza niewielkimi fabryczkami, obszary rolnicze, orientujące się wszystkie już to w stronę Poznania, już też Bydgoszczy i Gdańska, mniej Wrocławia. Z miejsca wysunął się przeto problem organizacji administracyjnej tych obszarów, które pozostały bez władzy nadrzędnej w postaci rejencji względnie prowincji. Rozum i logika nakazywałyby w takich przypadkach przydzielać owe powiaty do najbliższej terytorialnie położonych okręgów i tym samym ułatwić i umożliwić im normalny rozwój i życie Człuchów, Złotów, Piła i Trzcianka mogły zostać przydzielone do rejencji koszalińskiej, mając nie gorsze połączenie z Koszalinem od obecnego; Skwierzyna, Międzyrzecz i Babimost ciążyły do pobliskiego kręgu rejencji w Frankfurcie nad Odrą, a Wschowa do odległego o półtóry godziny jazdy kolejną Wrocławia, siedziby Prowincji Śląskiej i rejencji wrocławskiej.

Nie byłoby to wymagało żadnych wysiłków i sprawiało trudności administracyjnych, a nadto przybytek po parę powiatów do dużych już rejencji, nie dałby się nawet odczuć w zarządzie II instancji. Cała ludność tych obszarów nie przekraczała razem 250.000 ludzi i nadawała się doskonale do rozparcelowania. Oczywiście, gdyby sprawę tę traktowało się jedynie pod kątem widzenia dobrej administracji.

Ale stało się inaczej. Względny wspomnianej już poprawności administracyjnego podziału kraju, zostały pominięte, a na pierwszy plan wysunęły się jako decydujące – czynniki polityki odwetowej niemieckiej. Wychodząc z założenia, że Traktat Wersalski jest krzywdzącym dla Niemiec i jeśli idzie o obszary na Wschodzie stanowi prowizorium, postanowiono dać temu wyraz przez utrzymanie istnienia dla celów reminiscencji odwetowych, dawnych podziałów administracyjnych Poznańskiego i Prus Zachodnich. To były bowiem obszary, których większość przeważająca przypadła Polsce. W ten sposób powstała Prowincja pruska „Grenzmark-Posen-Westpreussen” – „Marchia Graniczna Poznań i Prusy Zachodnie”. W nazwie Marchia nawiązywano do najdawniejszych tradycji sprzed 1000 lat, z czasów

walk książąt słowiańskich i pierwszych władców Polski z naporem niemieckim, gdy okrutny Margrabia Geron tworzył marchie graniczne dla większego pogwałcenia Słowian.

Głównym twórcą i propagatorem tej koncepcji polityczno-administracyjnej był ostatni pruski Prezydent rejencji w Bydgoszczy von Bülow, pochodzący ze zniemczonej duńskiej rodziny, której gałąź pruska dała Niemcom szereg mężów stanu, polityków, wojskowych etc. Jego to głównie zabiegom zawdzięcza ta Prowincja swe powstanie i swą strukturę organizacyjną będącą w swoim rodzaju osobliwością. Otóż obszar ten był zarazem Prowincją czyli w administracji pruskiej III instancją, i równocześnie Rejencją czyli II instancją. Było to takie dziwadło, że gdy potem Hitler doszedł do władzy, zniósł on ten dualizm i zachowując Piłę, która została stolicą, jako siedzibę rejencji, przydzielił ją do Prowincji Brandenburskiej w Poczdamie. Według własnej koncepcji von Bülow miał pewnego dnia opuścić swój ogromny gmach w Pile i na białym koniu wjechać do „uwolnionego” Poznania, jako prezydent odzyskanej prowincji, której „tradycję” popołu z tradycją Prus Zachodnich ucieleśniał w swym mniemaniu w sobie.

Jaki był dalszy los tej koncepcji, najlepiej wiemy. Ale wówczas koncepcja ta wymagała do swej realizacji ogromnych milionowych wkładów. Trzeba było zorganizować cały aparat rejencji – prowincji, ogromny sztab urzędników, bo w myśl tej właśnie zasady tradycjonalizmu Prowincja „Grenzmark-Posen-Westpreussen” wyposażona została we wszystko co do jej samodzielnego istnienia było potrzebne. Obok zatem właściwych władz administracji państwowej, stworzono osobny zarząd administracji samorządowej, miasto Piła otrzymało osobną Dyрекcję Policji, osobną Izbę Handlową oraz cały szereg pomniejszych władz i instytucji. Ba, nawet mały sąd w Pile awansowano do rangi Sądu Ziemiańskiego tj. II instancji. Pociągnęło to za sobą konieczność sprowadzenia do Piły ogromnego sztabu urzędników i oczywiście spowodowało szalony wzrost ludności. Trzeba przyznać, że problem mieszkaniowy rozwiązano doskonale, nie żałując pieniędzy na budownictwo, co naturalnie było posunięciem czysto politycznym, bo każdy nowy dom i nowe mieszkanie wzmagało potencjał elementu niemieckiego w Pile. Liczni polscy mieszkańcy Piły, już to przenieśli się dobrowolnie do Polski, już też tak byli wypierani i pozbawiani możliwości egzystencji przez Niemców, że liczba ich topniała. Zdołali się utrzymać tylko ci, co przedstawiali dla Niemców siłę roboczą fizyczną, lub nieliczni którzy dzięki posiadaniu ziemi czy domu mieli jaką taką niezależność.

Z punktu widzenia interesów polskich utworzenie Prowincji w Pile przedstawiało znaczenie czysto polityczne. Było jasnym, że ma ona na celu podtrzymywanie ducha odwetu i stanu płynności politycznej, mimo wszelkich pozorów stabilizacji, wyrażającej się w niezmiernym budownictwie gmachów na pomieszczenia władz oraz krystalizowaniu się procesu zcalania nowego aparatu rządzącego. Nieraz przypatrując się tej szybkiej i niezwykle kosztownej rozbudowie, będącej zaprzeczeniem nadziei niemieckich odnośnie „prowizoryczności” stanu rzeczy myślałem, że jedynym rozumnym wytłumaczeniem jest tylko to, że kiedyś wszystkie te gmachy przydadzą się nam – taka była bowiem sztuczność w tym wszystkim i taki ponad rzeczywiste potrzeby rozmach.

Ale oczywiście, nie w tym rzecz leżała. Z punktu widzenia naszych interesów, mimo wspomnianej już wyżej odwetowej i rewizjonistycznej koncepcji niemieckiej, która stała u kolebki Prowincji pilskiej, rzecz miała dla nas i swe dodatnie strony. Oto w tej małej na trzy części podzielonej Prowincji pruskiej Polacy stanowili element, który cyfrowo był oczywiście w mniejszości, ale nie była to mniejszość „mała”, lecz poważna, przedstawiająca czynnik, z którym w takiej właśnie małej prowincji, władze musiały się liczyć. Gdyby północne obszary tej prowincji zostały wcielone do rejencji koszalińskiej, to nawet wówczas Polacy w Złotowskim, Bytowie i samotnej wiosce Wierzchucinie, stanowiliby procentowo mniejszy czynnik od tego jakim się stał Złotów w stosunku do Piły.

Jeszcze drastyczniej sprawa ta przedstawia się na Ziemi Lubuskiej. Polacy w powiecie Międzyrzecz i Babimost wcieleni administracyjnie do Frankfurtu n/O. po prostu utonęliby w tym morzu niemieckim. Tutaj władze musiały się jednak z nimi liczyć. W ten sposób element polski pomimo wszystko więcej zyskiwał, aniżeli tracił przez ów dziwaczny twór administracyjny.

Dlatego też nigdy nie braliśmy sobie zbyt do serca, ani gróźb rewizjonistów wynikających z istnienia Prowincji w Pile, ani nie omieszkaliśmy przy każdej nadającej się okazji wykazywać, że błędy popełnione przy wytyczaniu granicy, zwracają się przeciwko samym Niemcom. Bo czyż można uznać w epoce, gdy wytyczenie granicy odbywa się na podstawie etnograficznej, za zadowalający fakt, że linię graniczną prowadzi się w ten sposób, że po stronie niemieckiej pozostają całe regiony i całe wsie z ludnością czysto polską. Faktu tego nic nie jest w stanie zmienić, nawet późniejsze usiłowania niemieckie, by przez sztuczki kolonizacyjne wzmoczyć żywioł niemiecki w tych przygranicznych wsiach.

\*     \*     \*

Gdy objąłem placówkę konsularną w Pile, jedną z pierwszych moich czynności było gruntowne zapoznanie się z przebiegiem granicy, wedle delimitacji wersalskiej. Było to o tyle ważne, że dawało obraz jak dalece różne względy wpływały na przebieg linii granicznej. Na ogół starano się wykorzystywać granice naturalne – jak biegi rzek i jeziora, ale większą część linii granicznej tworzyła granica lądowa wytyczona na ogół dość niedbale. Jest jasną rzeczą, że ideału w takich przypadkach nie osiągnie się, niemniej jednak dwom czynnikom: braku staranności przy wytyczaniu granicy i złej woli ze strony Niemców zawdzięczać należy, że powstawały sytuacje wręcz absurdałne, wyzyskiwane potem dla celów propagandowych.

Przytoczę dwa takie przykłady, jeden z powiatu Człuchów, drugi – Międzyrzecz. Gdy wytyczano granicę pomiędzy powiatem Chojnice i Człuchów, postanowiła komisja delimitacyjna, że granica będzie biegła skrajem szosy idącej na północny-zachód od Chojnic. Szosa i rów były polskie, dalej już Niemcy. Ale w pewnym punkcie stała karczma, tak zbudowa-

wana, że drzwi do niej otwierały się na polską stronę i trzeba było przechodzić przez małą kładkę położoną nad rowem. Z chwilą wytyczenia granicy, istnienie tego budynku było absurdalnym i powinien on być zlikwidowany. Tym bardziej, że niedalekie domy, które dawniej dostarczały klienteli, pozostały po polskiej stronie, tj. za granicą, a karczmarz, by utrzymać się musiał ściągać gości z dość dużej odległości. Żadne ekonomiczne względy nie przemawiały za dalszą egzystencją karczmy. Niemcy zamknęli wejście od polskiej strony. Polacy usunęli kładkę nad rowem i do karczmy wchodziło się bocznym, po niemieckiej stronie położonym wejściem. Ale nieustannie zdarzały się „omyłki” wychodzono dawnym wejściem, by znalazłszy się „za granicą” odbywać potem pod opieką Straży Granicznej marsz do Sądu w Chojnicach za nielegalne przekroczenie granicy państwa. Oczywiście Niemcy jak najbardziej wykorzystywali to jako dowód jak źle wytyczono granicę.

Jeszcze drażliwsza sytuacja była w miejscowości Trzciel, przechrzczonej przez Niemców na Tirschtiegel, w powiecie Międzyrzecz. Podczas obrad komisji delimitacyjnej strona polska domagała się, aby linia kolejowa Zbąszyń – Międzychód pozostała po stronie polskiej. Oczywiście rozumiano przez to, że nie sam tylko tor kolejowy, ale i jego obustronne przyległości w postaci osad, dla których stanowił on arterię żywotności. Wymagało to oczywiście przejścia przez cały teren i ustalenia na podstawie wizji lokalnej oraz wysłuchania głosów mieszkańców, jak dalece poszczególne miejscowości związane są w swych potrzebach gospodarczych ze wspomnianą linią kolejową. Ale komisja międzynarodowa była wygodna. Załatwiła sprawę krótko i prosto. Zadekretowano, że linia graniczna będzie biegła w odległości 10 m od środka toru kolejowego w kierunku z południa na północ. Jak natomiast rzecz będzie przedstawiała się w terenie, o to komisja nie troszczyła się. Gdy przyszło do delimitacji w terenie, okazało się, że miejscowość Trzciel pozostała po stronie niemieckiej, a stacja kolejowa po polskiej. Nie służyła ona nikomu. Ale po stronie niemieckiej właśnie, w pasie owych 10 metrów, znajdował się dom (a może i dziś jeszcze istnieje), który był w ten sposób postawiony, że część jego leżała w obrębie owego 10-metrowego pasa, pozostając tym samym w Polsce, a druga część po stronie Niemiec. Właściciel tego domu mieszkał zatem w dwóch państwach i na dobrą sprawę do przechodzenia z jednego pokoju do drugiego potrzebował paszportu lub przepustki granicznej. Granicę wytyczono w terenie, ale gdy przyszło do tego domu, sprawa stała się trudną. Zdrowy rozsądek nakazywał dom ten wywłaszczyć i zburzyć. Ale Niemcy nie chcieli się zgodzić, by niemiecka część domu została rozebrana, a Polacy nie byli technicznie w możności uczynić to z „polską” częścią budynku. Sprawa stała się absurdem i dziwołagiem. Nasze władze graniczne zastosowały wybieg, na domu we właściwym punkcie oznaczono miejsce, gdzie przebiegała linia granicy państwowej, a równocześnie otoczono od polskiej strony dom drutami kolczastymi, aby uniemożliwić przemyt i przedostawanie się tędy z jednego państwa do drugiego. Sprawa była przedmiotem korespondencji obustronnych władz granicznych, bez żadnego pozytywnego wyniku. Szereg raportów, jakie w tej sprawie wysłałem, też nie posunęły sprawy naprzód. O ile dla władz granicznych dziwołag

ten nasuwał pod względem celnym, kontroli ruchu granicznego, podatkowym i sądowym oraz rejestracji ruchu ludności jak największe trudności, o tyle ja, pozostawiając troski te staroście w Międzychodzie i wojewodzie w Poznaniu, miałem na oku inny o wiele poważniejszy i groźniejszy aspekt. Oto dom ten stał się dla Niemców niewyczerpanym źródłem dla akcji propagandowej przeciwko Polsce. Z całych Niemiec zwożono samochodami wycieczki do Trzciela i pokazywano ów rzeczywiście godny widzenia dom-dziwoląg. Każda taka wycieczka połączona była z demonstracjami antypolskimi przy szlabanie granicznym, i podniecaniem uczestników do akcji za zmianą granicy. Zdjęcia tego domu były szeroko rozpowszechniane i stanowiły gwóźdź wszystkich nacjonalistyczno-rewizjonistycznych publikacji niemieckich na temat „krwawącej granicy”. Nie wiem, czy dom ów przetrwał burzę dziejową i czy nadal stoi na dawnym miejscu. Wypadki dziwnie się splatają w dziejach. Może Fortuna uważała, że lepiej przecześcić, niech dom z całą miejscowością powróci do Polski, niżli go burzyć? W każdym razie, moim zdaniem, jeśli istnieje, to warto, by o jego dziwnych losach kronikarze miejscowości Trzciel – nie zapomnieli.

Nadmieniam, że opór ze strony niemieckiej przeciwko usunięciu tego drażniącego a niepotrzebnego kolca, był tak stanowczy, korzyści propagandowe dla Niemców tak duże, że nie udało się przymusić likwidacji tego obiektu. Rzecz w istocie swej była zbyt małą, by zrobić kwestię stanu. Natomiast sprawa ta była dowodem, jak bardzo Niemcom zależało na jątrzeniu i podtrzymywaniu stanu zadrażnień na granicy. Zresztą – gdy powstawał jakiś incydent graniczny, co z reguły załatwiała bezpośrednio obustronne władze I-szej instancji, można było być pewnym, że ze strony niemieckiej będzie więcej tendencji raczej do pogłębienia, niż do niwelowania trudności.

\* \* \*

Z punktu widzenia naszych interesów, większą gatunkowo wagę, miały sprawy położenia ludności polskiej, która pozostała po niemieckiej stronie. Na terenie dzisiejszej Ziemi Lubuskiej, znajdowało się pięć wsi zwarcie polskich: Nowe i Stare Kramsko, Podmokle Wielkie i Małe oraz Wielka Dąbrówka. Ludność tych wsi była w przeważającej mierze polska, wysoko uświadomiona, przechowująca starannie obyczaj, mowę i strój polski. Odnosi się to szczególnie do Dąbrówki Wielkiej, której przepiękny strój ludowy kobiet, noszony przez nie, budził ogólny zachwyt. W okresie międzywojennym w dziale etnograficznym Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu, znajdowała się duża gabłota ze strojami z Dąbrówki Wielkiej. Nad gabłotą widniał napis spowity krepą i otoczony koroną cierniową. „Dąbrówka Wielka – odcięta od Macierzy...”.

Gdy w roku 1931 późną jesienią z racji ekshumacji powstańców wielkopolskich poległych w walkach 1918–19 r. w tych stronach i przewożonych do Zbąszynia, przybyłem oficjalnie do Dąbrówki Wielkiej, czekał tam na

mnie wybitny przywódca i działacz społeczny spośród Polaków miejscowych Jan Budyh IV oraz miejscowy komisarz policji. Budyh zaprosił mnie do siebie i bardzo gościnnie podejmował. Jego miła żona wystąpiła w przepięknym stroju, jaki od święta noszą Polki w Dąbrówce Wielkiej. Od niego dowiedziałem się, że władze niemieckie zabroniły jakiegokolwiek udziału ludności w żałobnej uroczystości. Komisarz poinformował mnie, że samochód z trumnami jest gotów i że on osobiście będzie mi towarzyszył, aż do punktu granicznego w Zbąszyniu. Kondukt, jaki wyruszył z Dąbrówki Wielkiej, pozostanie mi na zawsze w pamięci. Na przodzie jechał samochód ze szczątkami powstańców, potem ja w samochodzie z flagą konsularną, następnie samochód z komisarzem policji, a na końcu na rowerze Jan Budyh IV, który reprezentował całą ludność polską Dąbrówki Wielkiej. Na granicy podniosły się oba szlabany: niemiecki i polski. Trumny przeniesiono na polską stronę i zatrzymano się na samej linii granicy. Pożegnałem się z przedstawicielem władz niemieckich, serdecznie uściskałem dłoń Jana Budyha IV, który musiał zostać po niemieckiej stronie i szepnąłem mu tylko, by starał się słyszeć moje przemówienie. Przekazywałem w nim szczątki powstańców – ziemi zbąszyńskiej, z której pochodzili i w serdecznych słowach dziękowałem ludności Dąbrówki Wielkiej za troskliwą pieczę nad grobami poległych współbraci przez tyle lat ich na jej ziemi spoczywania. Gdy skończyłem, zabrzmiały dźwięki hymnu narodowego, kompania honorowa sprezentowała broń i wolno ruszył do miasta Zbąszynia wielki kondukt przy ogromnym udziale ludności i organizacji. Jan Budyh IV stał samotny po drugiej stronie granicy i długo śledził oczyma oddalający się kondukt. Idąc w pochodzie pomiędzy starostą powiatu zbąszyńskiego i dowódcą miejscowego garnizonu, myślałem sobie, co musiało dziać się w sercu tego gorącego patrioty w chwili, w której cały dramat Wielkiej Dąbrówki uwidaczniał się w swej smutnej rzeczywistości.

Z Janem Budychem IV i innymi działaczami z polskich wsi wyżej wymienionych zetknąłem się po raz pierwszy w dniu 1 kwietnia 1928 r. w Pile. W tym dniu obejmowałem kierownictwo placówki konsularnej i z całego okręgu konsularnego przybyli wówczas wszyscy działacze polscy, by pożegnać mego poprzednika konsula Stanisława Ptaszyckiego oraz powitać mnie. Zwrócili się wówczas do mnie przedstawiciele Dąbrówki Wielkiej z prośbą o interwencję w sprawie systematycznego opóźniania przez pocztę dostawy poznańskiego „Przewodnika Katolickiego”.

Ale zanim doszło do oficjalnej interwencji, zaszedł raz i drugi wypadek, że poczta polska w Poznaniu opóźniła się w dostawie czasopism niemieckich. Codziennie pociągiem pospiesznym wychodzącym z Berlina około godziny 22-giej przybywało do Poznania około godziny 3-ciej nad ranem kilka tysięcy ostatnich wydań dzienników i periodyków niemieckich i już rano można było w kioskach otrzymać najświeższą prasę niemiecką. Była ona rozkupowana zarówno przez Niemców jak i przez Polaków. Jedno takie opóźnienie, tylko jednodniowe przemieniało prasę tę w makulaturę, bo nikt starych dzienników przecież nie kupuje. Wydawnictwa niemieckie poczęły ponosić straty idące w tysiące. Postarałem się o to, aby gdzie należy wykombinowano sobie ile to złego przynosi złe funkcjonowanie poczt

na odcinku dostawy czasopism. Okazało się wtedy, ile jest prawdy w przysłowiu o kiju, który ma dwa końce i o starej prawdzie: „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe”. „Przewodnik Katolicki” zaczął przychodzić więc punktualnie i przez cały czas mego urzędowania w Pile żadnych uchybień nie było. Tak jak i nie było po takim obrocie sprawy – potrzeby złożenia z mej strony oficjalnej interwencji.

Polacy w wioskach na dzisiejszej Ziemi Lubuskiej przedstawiali element nadzwyczaj wartościowy. Doskonali gospodarze, wysoko intelektualnie stojący, twardzi i nieustępliwi Polacy. Obok wymienionych wyżej już miejscowości było jeszcze kilka innych, w których jednak żywił polski był nieliczny, otoczony masą niemiecką i ciężko musiał walczyć, aby utrzymać się ekonomicznie i nie poddać się fali germanizacji.

Położenie ich wszystkich było nadto trudne organizacyjnie, bo skupisko to należało do V Dzielnicę Związku Polaków w Niemczech, ale siedziba jej była w Złotowie i stąd dojazd zarówno dla kierownictwa V Dzielnicę jak i na odwrót był utrudniony i kosztowny. Możliwości zatem bezpośrednich kontaktów były ograniczone. Związek Polaków w Złotowie posiadał tak mało pieniędzy, że założysz np. Oddział w Zielonej Górze, nie był w stanie wysłać tam swych przedstawicieli i Polacy zielonogórscy byli pozostawieni sami sobie, co najwyżej mogli pisemnie kontaktować się ze Złotowem. Zielona Góra zresztą nie leżała w mym okręgu konsularnym. W niemniej trudnej sytuacji byłem i ja, jeśli idzie o ów kontakt z Polakami z Dąbrówki Wielkiej, z obu Podmokli i Kramka oraz z pomniejszych miejscowości. Obywateli polskich nie było tam zupełnie. Dojazd jak najtrudniejszy i jak najbardziej zwracający na siebie uwagę. Niemcy bowiem niezwykle czujnie pilnowali tych polskich miejscowości i zjawienie się tam polskiego konsula, byłoby wywołało od razu z ich strony reakcję. Oczywiście nie w stosunku do mnie, ale w stosunku do tych Polaków, do których byłbym zajechał. Nie można ich było na to narażać. Były też i techniczne względy. Dopiero w drugiej połowie mego urzędowania w Pile otrzymałem służbowy samochód. Przedtem w ogóle nie było jak dojechać. Mimo tych przeszkód staraliśmy się jak tylko można podtrzymywać i zacieśniać stosunki z tymi rodakami. Do podtrzymywania ducha walnie pomogło nam założenie szkół polskich w roku 1929, które obsadzone doskonałymi siłami nauczycielskimi, od razu stał się oczkiem w głowie ludności polskiej w Starym i Nowym Kramku, w Podmoklach Wielkich i Małych, w Dąbrówce Wielkiej i później w Babimoście. Szkoły te, które po przerwie wojennej znów wznowiły swą pracę, spełniły wielką narodową służbę, bo wychowały i wykształciły w mowie i poczuciu polskości to pokolenie młodych Polaków, które dzisiaj przeżywa swój wiek dojrzały.

\* \* \*

Poszukując Polaków rozproszonych w różnych miejscowościach mego okręgu konsularnego, natknąłem się na niejasne wiadomości, że w miejscowości Chwalim znajduje się ludność mówiąca ani nie po niemiecku,

ani nie po polsku, ale jakimś – jak mówiono – zbliżonym do polskiego językiem. Zaintrygowało mnie to i zacząłem się dowiadywać, co by to mogło być. Że nie chodzi tutaj o Serbów Łużyckich było dla mnie jasnym, po prostu dlatego, że była to miejscowość zbyt odległa od Łużyc. Polacy z tamtych okolic wyrażali się o nich z rezerwą, mówiąc, że „są to lutry, ale nie Niemce”. Tu muszę wtrącić, że pośród ludności polskiej w Niemczech utarła się taka klasyfikacja: „luter”, był synonimem Niemca, „katolik” był Polakiem, ale mógł też być Niemcem; tylko w odróżnieniu od „lutra”, który był zawsze „złym” dla Polaków Niemcem, „katolik” był niekiedy „dobrym” Niemcem. Stąd ludność polska trzymała się zdala od „lutrów” zarówno z uwagi na różnicę religijną, jak i narodowościową. Natomiast z „katolikiem”, Niemcem można było rozmawiać, bo to – jak mówiono – „wprawdzie Niemiec – ale katolik”. W tym podejściu mieściło się oczywiście bardzo duże niebezpieczeństwo germanizacji przez „dobrych katolików Niemców”, co też zresztą wykorzystywało stronnictwo katolickie w Niemczech tzw. Centrum i kler niemiecki. Ale dlatego też i dla Polaka katolika, ktoś mówiący po polsku, ale ewangelik, był tym „lutrem”, od którego trzeba trzymać się w oddali. Nie było też żadnych stosunków z tymi po słowiańsku mówiącymi „lutrami” z Chwalima i próby dotarcia do nich przez najbliższych zamieszkałych sąsiadów z polskich wsi w regionie lubuskim, nie udały się. Wobec tego postanowiłem działać na własną rękę. Wysłałem do Chwalima zdolnego urzędnika konsularnego mgr Stanisława Szydłowskiego, z poleceniem zbadania sprawy. Jego przyjazd do Chwalima stał się dla tej miejscowości wydarzeniem takim, jakim jest piorun uderzający z jasnego nieba. Sprawozdanie, jakie mi złożył, było jednym z najciekawszych raportów, jakie mi się zdarzyło w życiu czytać. Pokazało się, że w Chwalimiu mieszka ludność słowiańska, mówiąca starym bardzo językiem, jakiego się już dzisiaj nie spotyka. Nie był to język Polaków na Śląsku, który jak to powszechnie wiadomo, najbardziej zbliża się do staropolszczyzny, ale język odrębny, starszy, posługujący się wyrażeniami, które dawno już w Polsce wyszły z obiegu lub przybrały inne znaczenie. Utkwiło mi w pamięci, że w Chwalimie ludzie nazywali nauczyciela „zok”, co oczywiście pochodziło od średniowiecznego „żaka”, a gdy pastor wygłosił w zborze dobre kazanie, ludzie ci mówili, że „ksiądz pięknie piał”. Gdy mgr Szydłowski wszedł do zboru miejscowego, znalazł na ławkach stare modlitewniki z XVII i XVIII wieku, które widocznie przechodziły z pokolenia na pokolenie, jako najcenniejszy skarb. O tym, by się ich wyzbyć za jaką bądź cenę – mowy nie było. Modlitewniki były w tym starym słowiańskim języku, którym posługiwał się w codziennym życiu ich właściciele. Głęboko religijni, z ciężkim sercem znosili dopust Boży, iż pastor był Niemcem i przemawiał do nich po niemiecku. Stąd też rozmowy, jakie mgr Szydłowski miał z nimi, wywarły na nich głębokie wrażenie. Zjawił się ktoś – kto to był nie wiedzieli i nigdy się nie dowiedzieli – który zaczął im mówić o wielkim państwie polskim, które żywo interesuje się losami braci słowiańskiej a nimi Chwalimiakami w szczególności. Państwie, które ma u siebie ludność ewangelicką i gdzie po zborach pastory głoszą słowo Boże w języku ojczystym wiernych. Gdzie słowo „luter”, nie ma charakteru dyskryminującego. Gdzie każdy może chwalić Wszchemocnego w swej ojczystej

mowie i nikt mu tego nie zabrania, ani nie wytyka. Po raz pierwszy zapewne od niepamiętnych czasów, może od całych pokoleń, przybył do Chwalima nieznanany gość, który do tych, przeważnie starych ludzi, mówił takimi słowami. Wrażenie było szalone, po wsi pośród ludzi rozeszła się wieść o wydarzeniu jakiego jeszcze w życiu swym nie doznali. A mgr Szydłowskiemu już nie było, tak, jak nie wiadomo skąd przybył do Chwalimia, tak też zniknął w niewiadomym kierunku. Ale nie miało się na tym skończyć... Chwalimiaków czekała jeszcze większa niespodzianka.

Dzięki mgr Szydłowskiemu wiedziałem już jak sprawy stoją. Materiał, jaki przywiózł, był wystarczający dla zorientowania się zarówno w sytuacji jak i sposobie działania. Przede wszystkim chciałem się dowiedzieć, co to jest za język, którego próbki przywiózł mój wysłannik, a który jak się okazało, nieznanym był w Polsce. Za pośrednictwem konsula RP w Hamburgu, dr Władysława Namysłowskiego, który był naukowcem, interesował się językiem serbo-chorwackim i z tego tytułu pozostawał w stosunkach ze znakomitym uczonym sławistą prof. Vassmerem z Uniwersytetu we Wrocławiu, dowiedziałem się, że ludność Chwalimia jest słowiańska i mówi językiem wymarłych już gwar dolnośląskich. Ostatni to pogrobownicy dawnej mowy, dawnego ludu słowiańskiego, który Niemcy wytępilili do szczętu.

Podjęcie w Chwalimiu szerszej akcji w znaczeniu kulturalno-oświatowym, nie byłoby „chwyciło”. Ludzie ci byli niestety wyspą wyodrębnioną zupełnie od innych słowiańskich szczepów. Podejść do nich należało jednak z innej strony, z tej właśnie, dzięki której przez tyle wieków zachowali świadomość swego słowiańskiego pochodzenia i swej słowiańskiej mowy. Było nią przywiązanie do religii ewangelickiej. Był to klucz, który władny był otworzyć ich serca. Trzeba było umożliwić im słyszenie słowa bożego w tym, a nie niemieckim języku, i w ten sposób zbliżyć ich do wpływu polskiego. Najłatwiejszą rzeczą, byłoby wystać do Chwalimia, któregoś z polskich pastorów ewangelickich. Było ich dość i byli pomiędzy nimi ludzie, którzy doskonale do takiej misji nadawaliby się, a których patriotyzm dawał pełne gwarancje. Było jednak w takim podejściu jedno „ale”: nawet przyjąwszy, że Niemcy byliby pozwolili na przyjazd pastora z Polski, – byłoby to zbyt prostym i łatwym rozwiązaniem sprawy. W życiu i w polityce, nie zawsze takie sposoby rozplątywania sytuacji są skuteczne. Wybrałem zupełnie inną drogę. Ale tu muszę na chwilę przenieść się w inne strony i w inne stosunki.

Jest powszechnie znaną rzeczą, że ludność polska w dawnych Prusach Książęcych (albo Wschodnich), zwana powszechnie Mazurami, jest wyznania ewangelickiego. Są to wszystko wspomnienia dawnych czasów krzyżackich, kiedy to Zakon sekularyzował się, przeszedł na protestantyzm i oczywiście w myśl ówczesnej zasady „*cuius regio eius religio*” – czyli „jaki rząd – taka religia”, zmusił całkowicie od siebie zależną i uciemnioną ludność mazurską do przyjęcia nowinek luteranckich. To przejście na protestantyzm nie było równoznacznym z germanizacją. Mazurzy mieli swe zbory po wsiach, a opiekę duszpasterską spełniali pastory mówiący po polsku, nieraz pochodzenia mazurskiego i nieraz całe nabożeństwo odbywało się w języku polskim. Mimo, że wpływ germanizacyjny na Mazurach

był ogromny, dający się mierzyć jedynie skalą zależności materialnej tych ludzi od pruskich panów, mimo, że systematycznie zatrutowano duszę tego ludu i starano się wpoić weni przeświadczenie, że nie ma on nic wspólnego z polskością, nie zdołano jednak wytrzebić mowy polskiej i Mazurzy mówili między sobą w życiu potocznym po polsku i modlili się w swych zborach oraz śpiewali po polsku. Szkoła była niemiecka, uczono w niej języka i wpa-jano służalczą wierność dla Prus oraz nienawiść do wszystkiego co nie jest niemieckie. Wszystkie władze państwowe też urzędowały w języku niemieckim. Tylko w zborze protestanckim, słyszał Mazur swój język ojczysty i w tym języku zanosił modlitwy do Wszechmocnego. Zdawał sobie dobrze sprawę z tego kościół protestancki, wiedząc, jak wielkie znaczenie ma to posługiwanie się mową ojczystą w życiu religijnym i przez stulecia nie stawiano przeszkód, licząc, że w ten sposób jeszcze bardziej przywiąże się niejeden Mazur do „niemieckiej” wiary, jeśli będzie mógł po polsku modlić się. Ale, aby wyłączyć go z kręgu prawdziwej polskości i jednolitej kultury polskiej, wprowadzono alfabet gotycki, tak zwaną „szwabachę” i w niej drukowano wszystkie książki i śpiewniki religijne. Mazur umiał czytać i pisać tylko w tym alfabecie, alfabet łaciński był dlań niedostępny. Otaczano w ten sposób biednego ewangelika mazurskiego, posługującego się w życiu religijnym językiem polskim, jakgdyby płotem przed autentyczną polskością. Pastory głośili słowo boże, po polsku, ale w duchu oczywiście pruskim, gdy tego było potrzeba. Każdy, kto tylko trochę zna te sprawy mazurskie, wie dobrze, jaką straszną krzywdę wyrządzali przez długie wieki Prusacy temu dobremu i biednemu ludowi, usiłując go w ten sposób zgermanizować. Do roku 1918 sytuacja w kościele protestanckim na Mazurach, nie przedstawiała szczególnych niebezpieczeństw z punktu widzenia niemieckiego na odcinku językowym. Stan rzeczy zmienił się po powstaniu państwa polskiego. Wypłynięcie sprawy mazurskiej na konferencji w Wersalu, niepomyślny wprawdzie dla Polski wynik plebiscytu na Mazurach, obawa wpływów istniejącego już państwa polskiego mającego swą określoną linię polityczną, spowodowały, że ucisk i germanizacja na Mazurach wzmogły się. Oazą polskości, jeżeli można użyć tak górnolotnego zwrotu, okazał się w tym stanie rzeczy kościół protestancki, w którego zborach jawnie, oficjalnie posługiwano się mową polską. Władze niemieckie zaczęły po roku 1920 coraz to surowiej odnosić się do tej sytuacji. Na parafie mazurskie przysyłano pastorów nie umiejących po polsku, a pastorów mazurskiego pochodzenia lub znających język polski, osadzano na parafiach często niemieckich, albo też na pastorów Niemców, w tych parafiach, w których język polski był językiem obrzędowym, wywierano nacisk, aby zmniejszali i kasowali nabożeństwa polskie, zastępując je nabożeństwami w języku niemieckim. Mazurzy, którzy uważali się za lojalnych obywateli pruskich, i którym przez myśl nie przychodziło przez całe pokolenie, iż posługując się w zborze językiem polskim, spełniają rzecz niemiłą, by nie rzec nieprzychylną dla Prus, nagle ujrzeli się w pozycji ludzi uciskanych i gnębionych na odcinku, który był im z dziada pradziada najdroższym i najczulszym, to jest religijnym. Bez żadnej interwencji zewnątrz, zaczęli się pośród nich wytwarzać ferment i niezadowolenie, że utrudnia się i uniemożliwia odprawianie modłów w języku ojczystym i zmusza do posłu-

giwania się w zborze niemczyzną. Zbór z niemieckim kazaniem, niemieckimi modłami i niemiecką pieśnią religijną, zaczął dla nich stawać się rzeczą nie tylko obcą, ale przybierać cechy czynnika ucisku i niedoli. Powoli zaczęły zbory, z których usunięto polski język, pustoszeć, a ludzie zamiast iść w niedzielę do zboru, zaczęli się zbierać małymi grupkami w domach prywatnych. Tam wspólnie odmawiali modlitwy i śpiewali pobożne pieśni w języku ojczystym. Ten ruch spontaniczny i czysto wyznaniowy, nie mający w zaraniu żadnych politycznych, a nawet świadomie narodowych przesłanek, zaczął z biegiem czasu przybierać na sile. Grupki stawały się coraz to silniejsze, poczęły się tworzyć całe gromady, a na czele każdej takiej gromady, stawał jakiś świecki człowiek, który na zebraniach gromady, intonował pieśni pobożne, odmawiał głośno modlitwę i czytał Pismo Święte, a niekiedy próbował objaśniać je i nawet wygłaszał nauki. Ten ruch przybierał nazwę „gromadkarskiego” i nosił, jak to już wspomniałem, cechy czysto religijne. O żadnej akcji politycznej nie mogło być mowy i władze niemieckie nie miały się do czego przyczepić. Indagowani odpowiadali, że dlatego grupują się w „gromadkach”, bo w zborze nie mogą modlić się, jak dawniej, po polsku. To było prawdą i na to nie było żadnej właściwie rady, bo żeby ludzi tych, których wyгнаła ze zboru niemieckość, z powrotem do niego sprowadzić, trzeba by przywrócić, jak dawniej, język polski, a na to władze niemieckie nie mogły się zgodzić.

„Ruch gromadkarski” usuwał się zupełnie ze zboru i życia parafii niemieckiej. Tworzył faktyczną, własną organizację, na czele której stał „starszy” spełniający wszystkie czynności religijne, do których nie musiało się bezwarunkowo wzywać pastora. Taki „starszy gromadkarz” chrzczył dzieci, kierował wspólnymi modlitwami i nawet na pogrzebach wygłaszał nad grobem zwykle u protestantów żałobne przemówienie. Bojkot zboru z pastorem i niemiecką mową, był zupełny. Najwybitniejszym „gromadkarzem” i „starszym” był Reinhold Barcz ze Szczytna, z zawodu mistrz krawiecki z powołania kaznodzieja protestancki. On propagował ideę odsuwania się od niemieckich zborów, on wydawał i redagował osobne pismo religijne, w języku polskim, drukowane szwabachą z artykułami wyłącznie dewocyjnej protestanckiej treści, on był najwybitniejszym i najbardziej ideowym „gromadkarzem”. Jego wpływ osobisty był niezmierny. Był to człowiek z tego typu ludzi, co to opanowani myślą o jednej idei, gotowi są wszystko poświęcić. W swej działalności, która z punktu widzenia polskiego, była jak najbardziej dodatnią, Barcz nigdy nie poruszał struny nacjonalistycznej, niewzruszenie stojąc na gruncie religijnym. Z punktu widzenia naszej polityki, było to wystarczającym, boć chodziło przede wszystkim o to, aby Mazurzy poprzez wyznanie, pozostali jednak przy mowie polskiej, a nie ulegli zupełnej germanizacji.

Po tej długiej wycieczce w kraje pruskie i stosunki mazursko-ewangelickie powróćmy jednak do Piły.

Pewnego zimowego wieczora, przybył kaznodzieja (tak sam tytułował się) Barcz do Piły. Przyjechał pociągiem tranzytowym z Prus Wschodnich. Pociągi te, idące przez Łławę, Bydgoszcz i Piłę, były na terytorium polskim „zamkniętymi”, nie wolno było z nich nikomu wysiadać, ani też nie wolno

było do nich wsiadać. Żadnej rewizji paszportowej czy celnej nie było, ani jakiegokolwiek kontroli. Prosto z dworca, doskonale poinformowany jak ma iść, skierował się do gmachu Konsulatu, ale nie wszedł doń. Wszedł innym wejściem, prowadzącym do mieszkań niemieckich, przeszedł przez poddasze i dostał się na klatkę schodową prowadzącą do Konsulatu. Jeśli nawet ktoś go śledził, nie mógł wiedzieć, że Barcz zdążył do Konsulatu, gdyż nie posłużył się żadnym z dwóch oficjalnych wejść, stale przez posterunki policyjne pilnowanych. W konsulacie było ciemno i w żadnym pokoju nie zapaliło się światło. Barcz zadzwonił – drzwi się otworzyły i zaprowadzono go do jednego z salonów, którego okna zamknięte roletami i grubymi zasłonami, nie przepuszczały ani odrobiny światła. Tu odbyła się długa bardzo rozmowa ze mną i z mgr Stanisławem Szydłowskim, na temat Chwalima. Barcz, mężczyzna szpakowaty, niskiego wzrostu, barczystej budowy, o twarzy okrągłej i uduchowionych oczach, mówił spokojnym, cichym głosem, człowieka, w którym wyczuwa się głębokie życie wewnętrzne. Był to człowiek prosty i o sprawach religijnych wypowiadał się z głębokim przejęciem i wielką wiarą. Był to typowy „kaznodzieja”, przywódca religijny, który staje na czele wiernych, nie z mocy uprawnień hierarchicznych, ale na skutek swej wielkiej pobożności i głębokiego przeświadczenia w słuszność i prawdę, której służy. Barcz wyłożył mi wszystko, co było potrzebnym bym zorientował się w „ruchu gromadzkim”; przy czym stale zbaczał w dziedzinę czysto religijną i dogmatyczną. Widać było, że jest to człowiek ożywiony „duchem bożym”, dla którego jego kaznodziejstwo jest treścią wszelkich przeżyć duchowych, a wszystko inne przesuwane na dalekie, inne plany. Szybko zorientowałem się, że kaznodzieja Barcz jest właśnie takim człowiekiem, jakiego potrzebowałem i że to, co mi o nim powiedziano, nie odbiega ani trochę od prawdy. Zorientowaliśmy go z mgr Szydłowskim w sprawie sytuacji w Chwalimie, wytłumaczyliśmy, że nie zamierzamy żadnej akcji politycznej prowadzić na tamtejszym terenie i chodzi jedynie o zajęcie się stroną religijną Chwalimiaków, tak bardzo zbliżonych pod względem położenia swego do braci ewangelików-gromadkarzy w Prusach Wschodnich. Ucieszyło to niezmiernie Barcza, dla którego moment religijny był decydującym i który dzięki temu co ode mnie usłyszał był „w sumieniu” zupełnie spokojnym. Oczywiście z tym większym zapalem przyrzekał mi, że sprawę Chwalimia weźmie do serca. Byłem z tego bardzo rad, bo chodziło mi o to, by Barcz rozciągnął swą robotę gromadzką też na teren Chwalima. Ja nie mogłem tam nic więcej już zrobić, tym bardziej, że o podtrzymywaniu jakiego takiego kontaktu stałego w tej sprawie z Barczem nie mogło być mowy. Był on zanadto na widowni w swym regionie.

Było daleko po północy, gdy Barcz bardzo wzruszony, zegnał się. Wypowiadał słowa pożegnania w stylu biblijnym. Cicho opuścił gmach Konsulatu, nie zauważony przez nikogo, poszedł prosto na dworzec i pojechał do Chwalimia. Nigdy więcej nie ujrzałem go w życiu, ani nie otrzymałem odeń jakichkolwiek wiadomości, tak zresztą miał polecone. Wiem o nim tylko tyle, że podczas wojny Niemcy zamordowali go, a ruch gromadkar-

ski stał się zbędnym, bo polscy Mazurzy mogą teraz modlić się po swych zborach w języku ojczystym i pod przewodnictwem duszpasterzy – pastorów Polaków.

O tym, co potem działo się w Chwalimiu, dowiedziałem się później. Barcz wywarł ogromny wpływ, gdy zaczął obchodzić domy, mówić o słowie bożym i zachęcać do pobożności i modlenia się w starym języku ojców. Po wizycie mgr Szydłowskiego, zjawienie się kaznodziej Barcza, było ponownym, większym jeszcze przeżyciem dla mieszkańców Chwalimia. Barcz bowiem mówił do nich słowami i sposobem tak bardzo odpowiadającym ich potrzebom duchowym, że brał ich serca. Poruszenie, przejęcie tych ludzi było niezmiernie. Oczywiście, wieść rozniosła się szybko po Chwalimiu, o tak niezwykłym gościu, dotarła też do uszu niemieckiego pastora i zaniepokoiła również policję niemiecką. Ale zanim zdołano „coś zrobić”, kaznodziej Barcza nie było już w Chwalimiu. Zniknął bez śladu, wyjeżdżając w zupełnie odmiennym kierunku i wracając bardzo okrężną i trudną do wyśledzenia drogą do rodzinnego Szczytna. Dla mieszkańców Chwalimia te dwie wizyty stały się tematem długich rozmów i rozważań. Obaj bowiem emisariusze, utrzymali się w ramach wysokich duchowych wartości; nie wkraczali w delikatne zagadnienia codziennego bytowania, nie żądali niczego, byle tylko ludzie w służbie Bożej nie zaniedbywali swego dawnego języka. O obydwóch nie wiadomo skąd przybyli i dokąd wyjechali. Wszystkie zresztą poszukiwania i dochodzenia policji nie dały żadnego wyniku.

\*     \*     \*

Jeśli opisałem może obszerniej, moje wspomnienie z epizodem Chwalimia, to uczyniłem to dlatego, że był to jeden z licznych przykładów, jak na obszarach wschodnich Niemiec, żywioł słowiański mimo tysiącletniego pochodzenia na wschód – „Drang nach Osten” – zachował się i jak na każdym kroku natrafiało się na jego ślady. Od rzeki Lech w Bawarii, od Lipy w Westfalii, poprzez Frankonię, Hanower, Dolną i Górną Saksonię, nie mówiąc już o Brandenburgii, Meklemburg-Strzelce i Meklemburg-Skwierzyna, Berlin i to, co Niemcy zwali Marchią wschodnią, wszędzie napotykało się na nazwy słowiańskie, na wspomnienia obyczaju słowiańskiego i na resztki dawnej ludności słowiańskiej, wytępionej przez Niemców. Te resztki mówiły jeszcze w domu starym swym językiem i modliły się w nim po świątyniach. A cóż dopiero takie ziemie, jak Pomorze, Lubuski kraj, Śląsk. Albo ziemie dawnej Rzeczypospolitej i to w jej ostatnich granicach historycznych.

Wzruszające wspomnienie. Jest w dzisiejszym województwie koszalińskim, w powiecie Szczecinek, uroczą miejscowość, która dzisiaj zwie się Stare Drawsko. Za niemieckich czasów zwała się Drahim po polsku, a po Niemiecku Draheim. Mówiono mi, że to ostatnie rubieże dawnej Polski batoriańskiej. Kraj, który leżał pomiędzy Piłą a Drahimem, był całkowicie zniemczony. Stara metoda: rozparcelowano wielką własność pomiędzy kolonistów niemieckich, po wsiach i miasteczkach osadzono rzemieślników,

kupców i wolne zawody też Niemców, zabroniono korzystać z usług polskich i zmuszono w ten sposób Polaków, którzy na zachód od Piły, w powiecie Wałcz i Szczecinek stanowili poważną pozycję jeszcze w końcu XIX stulecia, do emigracji. Jechałem przez ten kilkudziesięcio-kilometrowy pas ziemi i wszędzie nazwy wskazywały na polskie pierwiastki, mimo że Niemcy starali się je jak najbardziej germanizować. Sam Drahim, to wąski przesmyk łądy położony pomiędzy dwoma cudownymi jeziorami o szafirowych toniach i małych szmaragdowych wysepkach. Przesmyk ten, tak wąski, że idzie przezeń tylko droga, a obok niej ruiny zamku. To właśnie był zamek graniczny, w którym załoga polska czuwała nad ostatnimi rubieżami Rzeczypospolitej. Kilkaset metrów dalej pokazywano mi miejsce, gdzie biegła dawna granica pomiędzy Polską a Brandenburgią. W restauracji, przyległej do ruiny, sprzedawano widokówki z napisem: „Ruinen der Starostenburg”, a nadto przewodnik, w którym wyczytałem, że „Drahim został w 1657 r. zastawiony Brandenburgii za pomoc Polsce w wojnie ze Szwedami i nigdy nie wykupiony. Niemniej do pamiętnego roku 1772, mimo załogi brandenburskiej, był pod suwerennością Białego Orła. Zdumiało mnie, że Niemcy tak czuli na zacieranie śladów wszystkiego, co słowiańskie i polskie, pozwalali na upamiętnianie takiej wymownej historycznej przeszłości tych ziem. Zapytałem starego rybaka, gdy wiozł mnie łódką po jeziorze, co to właściwie znaczy to dziwne słowo „Starostenburg”? Wszak brzmienie tej nazwy jest tak mało germańskie? Popatrzył na mnie, pchnął silniej łódź wiosłami i gdy byliśmy daleko na jeziorze tak, że nikt nas nie mógł słyszeć, zaczął opowiadać, że te słowa, które mnie tak zaciekawiają, oznaczają, iż był to zamek starostów polskich. Cała ta ziemia należała do Polski i oni wszyscy tutaj są pochodzenia polskiego... „Ja nazywam się Lipiński” – dodał. Byłem głęboko poruszony, boć mijało już lat 274 z górą, jak Prusacy owdąnęli tym krajem, a tutaj wspomnienia dawnych polskich czasów były tak żywe, jak żywym opowiadanie starca-rybaka, który widać przekazywał mi tradycję rodzinną, jaka z pokolenia na pokolenie przechodziła. Zapomniano już wtedy o Drahimiu. Niemcy przesunęli granice swe jeszcze bardziej na wschód, zamek graniczny starostów polskich, rozpadł się w gruzy, ale pamięć pozostała i stary Lipiński, który nie umiał już po polsku, a na pewno nie przypuszczał, że łodzią swą po falach jeziora, wiozł przedstawiciela dawnej władczyni tych pięknych ziem i wód, zachował głęboko w swej pamięci wspomnienie minionych wieków historii i swego polskiego pochodzenia. Nie wiem, czy Lipiński, bądź jego potomkowie, żyją jeszcze, ale wiem, że tego głębokiego wzruszenia, jakie ogarnęło mną wówczas, gdy z łódki starego rybaka Lipińskiego patrzyłem na czerniejące pośród zieleni przesmyku ruiny zamku starostów polskich i przypomnieniem sobie dziejów dawnej Rzeczypospolitej, nie zapomnę nigdy. Myśl moja pobiegła w odległe czasy, a równocześnie sięgnąłem spojrzeniem w przyszłość. My tu musimy wrócić. Polska musi odzyskać te ziemie, które najpierw przez długie wieki do niej należały, a dzisiaj jeszcze pamięć o niej zachowała się we wspomnieniu ludowym. Kiedy piszę te wspomnienia, nie mogę zaprzeczyć sobie, że wówczas w Drahimiu, miałem jasne spojrzenie w przyszłość. Boć nie minęło lat 15 od tego pięknego letniego popołudnia, a Polska wróciła na te ziemie...

Są takie chwile w życiu, że przed oczyma człowieka uchyla się na moment zasłona przyszłości i ukazuje mu na jedno spojrzenie widok tego, co ma się kiedyś stać, a co nazywa się sprawiedliwością dziejową. Taką chwilę w życiu przeżyłem w Drahimiu na krańcu dawnej Polski w roku Pańskim 1931.

\*     \*     \*

Gdy po wielu bardzo latach pisze się wspomnienia o rzeczach i ludziach, z którymi człowiek stykał się, tyle spraw przewija się w pamięci, tyle kwestii czasami drobnych, ale jakżeż dla jednostki nieraz istotnych. Podejmowane akcje i inicjatywy, zabiegi i starania. Szeregi nazwisk, wszystko co pamięć zachowała, bo z dokumentów nie zachowało się w mym posiadaniu nic.

Snują się te wspomnienia jak paciorki różańca, nanizane jedne za drugimi, a wszystkie odznaczają się niezmienną cechą: wielką miłością Ojczyzny. Każda pozycja była tutaj cenną, każdy wysiłek ludzki miał swą wartość.

Przypominam sobie, że dowiedziałem się, iż w Nowym Kramsku jest dzielny Polak i doskonały gospodarz Waclaw Fabiś. Ma on córkę, którą kształci w Pniewach w znanym zakładzie wychowawczym S.S. Urszulanek Szarych, gdzie kończy ona średnią szkołę gospodarczą. Zakład ten miał pod względem naukowym doskonałą opinię. Nauki stały wysoko i panny, które wychodziły stamtąd z dyplomem maturalnym, miały rzeczywiście coś w ręku i w głowie. Zaciągnąłem informacji, jaką jest opinia kierownictwa zakładu o pannie Marii Fabiś i okazało się, że najlepsza. Na tym osnułem cały plan nowej akcji polskiej na Pograniczu.

Organizacja polityczna miała swój wyraz w Związku Polaków, który zajmował się całokształtem życia mniejszości polskiej w Niemczech. Sprawy szkolnictwa należały do kompetencji Związku Polskich Towarzystw Szkolnych z siedzibą władz centralnych w Berlinie i do Polsko-katolickiego Towarzystwa Szkolnego na rejencję Piła z siedzibą w Złotowie. Istniały jeszcze chóry kościelne, istniały polskie Banki Ludowe, poprzez szkoły polskie istniejące od 1929 r. mieli Polacy możliwość oddziaływania na młodzież w wieku szkoły powszechnej. W każdej wiosce dzięki moim zabiegom istniała bardzo zasobna biblioteka, a teren miał swój własny organ w postaci „Głosu Pogranicza i Kaszub”. Duch polski mógł zatem docierać do różnych odcinków życia i chronić przed, wciskającą się wszystkimi wolnymi miejscami, germanizacją. Ale była dziedzina niesłychanie ważna, mająca ogromny wpływ na przyszłość życia polskiego, leżąca jeszcze odłogiem. Była nią kobieta i jej życie. Młode dziewczęta wchodzące w świat po ukończeniu szkół powszechnych, później młode zameżne kobiety, nawet i starsze, nie miały swej organizacji, w której mogłyby znajdować zaspokojenie swych zainteresowań w zakresie domu i rodziny, a że w przeważającej liczbie był to element wiejski, więc też odpowiednio do tego trzeba było dać mu możliwość zaznajamiania się i doksztalcania w tym zakresie. Postanowiłem przeto stworzyć pośród Polaków na Pograniczu kursa gospodarstwa domowego i kierownictwo tej akcji powierzyć jako instruktorce pannie Marii

Fabiś. Kursy te prowadzone pod wielkim kapeluszem Związku Polaków miały w nim swe formalne pokrycie, a nie mogły budzić ze strony Niemców żadnego sprzeciwu, boć uczenie młodych kobiet gotowania, szycia, różnych tajników codziennego gospodarstwa, było z punktu widzenia społecznego akcją jak najbardziej pożyteczną. Wystarałem się o zgodę czynników odgórnych, co należy sobie przełożyć na język prostszy: po prostu uzyskałem fundusze potrzebne na opłacanie instruktorki – bardzo zresztą skromne. Nawiasem mówiąc, wszystkie akcje podejmowane pośród Polaków w Niemczech były przeprowadzane tak małymi środkami, że dla współczesnych ludzi, bardziej biegłych w przecenie pracy społecznej na brzęcząca monetę, są to rzeczy wręcz niezrozumiałe. Właściwie wszyscy pracowali „za bezcen”, jeśli nie za darmo. Ceną istotną był głęboki patriotyzm i wielka miłość Ojczyzny.

Mając zatem wszystko przygotowane, odczekałem chwili, gdy panna Fabiś zdobyła dyplom maturalny i powróciła pod dach rodzicielski. Wówczas dostała zaproszenie, aby z Nowego Kramaska odbyła podróż do Piły i zgłosiła się u mnie. Przedstawiłem jej całą moją koncepcję, wytłumaczyłem w jakim kierunku i jakimi metodami ma pracować i zaproponowałem objęcie stanowiska instruktorki kursów gospodarstwa domowego na Pograniczu. Z wielką przyjemnością wspominam sobie tę rozmowę, bo mój młody gość okazał się osobą bardzo inteligentną, o szerokim zakresie zainteresowań i dobrze wedle mej, mało zresztą miarodajnej kompetencji, przygotowaną w zakresie fachowym do takiej właśnie akcji. Ale gdy wszystko zostało już omówione i ustalone, wyszło „szydło z worka”. Proszę Pani – mówiłem do panny Fabiś – będzie Pani uczyć młode dziewczęta i młode kobiety różnych pożytecznych rzeczy z zakresu gospodarstwa kobiecego, rzeczy potrzebnych dla pani domu, matki rodziny i towarzyski męża. Ale w te swoje fachowe nauki, będzie Pani dla urozmaicenia wplatała pogadanki o Polsce, o jej dziejach i wielkiej sławnej przeszłości, o jej życiu współczesnym, będzie Pani opowiadała im o swych wspomnieniach z kraju, będzie Pani wpajała im tą gorącą miłość Ojczyzny i ziemi ojczystej, tak głęboko, by przyszłe żony i matki nie tylko same przejęły się tym jak najbardziej, ale żeby w ich sercach i duszy tyle się tych uczuć nazbierało, by starczyło dla wielu przyszłych pokoleń. I to jest istotne zadanie Pani”.

Panna Fabiś słuchała mych słów z wielką uwagą. Musiały one wyrzeć na niej głębokie wrażenie, bo dalsza jej działalność do chwili aresztowania przez Niemców w 1939 r. na tym właśnie polu, jako organizatorki ówczesnych kół gospodyń wiejskich, była jak najpożyteczniejsza. Wybiła się ona jako jedna z cennych działaczek polskości w Niemczech. Ja po tej jednej rozmowie, nie zetknąłem się już z nią więcej. Przeniesiony do centrali Ministerstwa Spraw Zagranicznych, szereg lat pracowałem w innym zupełnie kierunku. Minęło wiele bardzo lat, gdy po wojnie poczta przyniosła mi list od Wielce Szanownej – już dzisiaj: Pani Mecenasowej Pawłowej Kwoczkowej z Opola, żony wybitnego obrońcy Polaków w Niemczech hitlerowskich, a dziś cenionego adwokata i posła na Sejm PRL. „Ja jestem tą Marią Fabiś – pisała Pani Kwoczkowa – którą pan przed laty skierował na drogę pracy pośród Polaków w Niemczech” Z wielkim wzruszeniem

czytałem list, w którym osoba, z którą raz tylko w życiu się zetknąłem, wyrażała mi swą wdzięczność i szacunek.

Opisałem ten epizod, bo zasłużył on na przejście do pamięci potomnych, jako przykład wysokich wartości moralnych i poczucia obowiązku i patriotyzmu ze strony ludzi dawnego Pogranicza.

\* \* \*

Skupiska polskie na dzisiejszej Ziemi Lubuskiej, odznaczały się zawsze wysokim bardzo poczuciem polskości. Leżały one dawniej w zasięgu promieniowania Poznania z którym komunikację miały łatwą. Była to Wielkopolska, która zawsze wyróżniała się wysokim poziomem uświadomieniem narodowym i umiejętnością obrony swych praw polskich. Stąd też w tragicznej chwili, gdy wytyczano granicę i wioski polskie w powiecie Babinost i Międzyrzecz, odcinano od łona Macierzy, położenie ich mieszkańców było pod pewnymi względami lepsze od skupiska złotowskiego. Nie było tu co prawda żadnej tak zwanej inteligencji cenzusowej, wyrażającej się duchownymi, lekarzami i adwokatami, dyplomowanymi rolnikami lub handlowcami. Ale poziom intelektualny mieszkańców tych wiosek był tak wysoki, że zdolny był przeciwstawić się skutecznie naporowi niemieckiemu. Nowet po roku 1920, gdy potencjalnie był on silniejszy i gdy Polacy ci mieli przeciwko sobie dosłownie wszystkie czynniki publiczne. A mimo to nie załamali się i przeciwstawili zwarty, solidarny front obrony swej polskości. Jest nieraz rzeczą trudną należycie oddać z jednej strony ówczesnemu obserwatorowi, a z drugiej współczesnemu czytelnikowi zrozumieć, cały klimat i cały nastrój tej ciężkiej atmosfery, w jakiej upływało życie mniejszości polskiej w Niemczech w okresie międzywojennym. Trzeba było dużo hartu ducha, wielkiego przywiązania do ziemi rodzinnej, by oprzeć się zarówno naciskowi niemieckiemu, jak i pokusie pójścia po linii łatwiejszej, to jest nie przeciwstawiania się akcji germanizacji.

Polityka, jaką prowadzili Niemcy na Pograniczu w stosunku do Polaków, była bardzo konsekwentna i stanowcza. Jednak poczucie praworządności, jakie jest zakorzenione w naturze niemieckiej, nie pozwalało na nieprzestrzeganie przepisów prawa w stosunku do Polaków. Można więc było zawsze powołać się na przepis prawny. Do czasów hitleryzmu, gdy przemoc i nie liczenie się z niczym, wzięło górę, mógł jeszcze Polak oddychać i wegetować, jeśli był w stanie tak zorganizować sobie życie, że posiadał jaką taką niezawisłość od Niemców. Jeśli jednak było odwrotnie, sprawa była stracona. Rolnik polski, gdy nie zapłacił podatku, wiedział co go czeka. Żadnej ulgi ani pobłażania nie było. Stąd gospodarka musiała być bardzo rozsądna i przemyślana, aby nie znaleźć się w sytuacji bez wyjścia. Podobnie było z wolnymi zawodami: lekarz czy adwokat polski, rzemieślnik czy kupiec nie mogli się utrzymać, jeśli nie mieli pewności, że klientela polska zapewni im możliwość zarobkowania. Żaden Niemiec nie poszedłby do Polaka, a gdyby to uczynił zostałby zbojkotowany i poniósł daleko idące skutki. W tym stanie rzeczy na Pograniczu najlepiej jeszcze mogli się utrzymać rolnicy, którzy mając własne gospodarstwa, byli w możliwości utrzymać się samodzielnie. Pomniejsze, wolne zawody rzemieślnicze

gorzej, chyba, że liczyli na Polaków. Podobnie kupcy i karczmarze. Wyższe wolne zawody, jak lekarze, adwokaci nie mieli dostatecznego zaplecza. Za moich czasów nie było też ani jednego tego typu pracownika na całym Pograniczu. Ludność polska doskonale zdawała sobie z tego sprawę i wykazując wielką solidarność i popieranie się tam, gdzie to tylko było możliwe – wytwarzała typ społeczeństwa pracowitego, solidnego, budzącego indywidualnie i jako zbiorowość zaufanie. Nie przypominam sobie, aby przez lata mego urzędowania w Pile zdarzył się nawet jeden wypadek, w którym Polak zasiadłby na ławie oskarżonych z tytułu przestępstwa kryminalnego lub też, by doszły do mych uszu wypadki zwane dzisiaj popularnie chuligaństwem, pijaństwem czy złym prowadzeniem się. Rodziny polskie, bardzo liczne, tworzyły budujące ogniska jedności rodzinnej i wysokiego szacunku dzieci dla rodziców. Panował nastrój wielkiej solidarności, rygoru oraz patriarchalności. Nic dziwnego, że środowisko polskie zdrowe fizycznie i moralnie, było w stanie oprzeć się naporowi germanizacji i doczekać się chwili wyzwolenia. Środowisko polskie nie byłoby wytrzymało tej nierównej wszak walki z germanizatorami, gdyby nie przedstawiało właśnie takich zalet charakteru, umysłu i serca.

Z wielką zawsze przyjemnością wspominam czasy i ludzi Pogranicza, gdyż stosunki z nimi były dla mnie niesłychanie krzepiące na duchu. Ja dawałem im ducha jako przedstawiciel rządu ich Ojczyzny, do której z serca i pochodzenia należeli, w zamian zaś od nich brałem tę nieugiętą charakteru i to głębokie przeświadczenie, że dobra sprawa zawsze musi zwyciężyć.

Ale nie można też zaprzeczyć, że planowa i systematyczna akcja niemiecka, obliczona na kruszenie murów obronnych polskich, była niebezpieczną. Przede wszystkim dlatego, że dążyła do stwarzania sytuacji zwanych „bez wyjścia”. Atakowany musiał albo poddać się albo zginąć. Dlatego też wyrazić należy ogromną radość, że dość wcześnie jeszcze w stosunku do możliwości wybiła godzina dziejowa i wszystkie te Pogranicza i dalej hen po Odrę ziemie, powróciły do Polski. Ocaliliśmy bardzo dużo wartościowego kapitału w ludziach.

\* \* \*

Kiedy po latach wielu kreślę te wspomnienia, a czynię to tak, jak obrazy i sprawy napływają mi w pamięci, widzę w przebiegu wydarzeń historycznych, nieraz dla nas bardzo ciężkich i krwawo okupionych, przedziwne sprawdzanie się pewnych, niezmiennych prawd w życiu jednostki i narodu. Więc najpierw, głębokie przeświadczenie, że tylko prawda i uczciwość mogą zwyciężyć. Potem ta wielka siła duchowa, jaką daje zgodna postawa narodu, wiedzącego czego chce i do czego dąży. Po trzecie wreszcie – wielka niejako mistyczna wiara, że ziemie dawnej Rzeczypospolitej tak niesprawiedliwie nam przez Niemców zabrane i na siłę niemczone, muszą jednak powrócić do Macierzy.

Pamiętam, było to w roku 1903: jako małego chłopca zawieziono mnie do Kołobrzegu, który zwał się wtenczas Kolberg. Pokazywano mi wówczas mury starej świątyni, pokazywano wody Bałtyku i fort przy porcie i mówiono

mi, że wszystko to przed wiekami było polskie. Słuchałem tego z wielkim przejęciem, choć jako zbyt młody nie obejmowałem całokształtu wydarzeń dziejowych na przestrzeni wieków, ale zawsze mówiono mi, że Polska powstanie i wówczas ten piękny kraj, jakim z Krakowa przez Wrocław i Poznań oraz Piłę jechaliśmy do Kołobrzegu, wróci do Polski i to morze, którym się tak zachwycaliśmy, będą znówu polskie. To wszystko stało się za mojego życia. Widziałem te ziemie pod jarzmem niemieckim, potem w tej samej Pile, przez którą jechałem, byłem w ćwierćwieku później Konsulem RP, a dziś doczekałem się po wielu dziesiątkach lat tych szczęśliwych czasów, że Niemcy opuścili te ziemie i odeszli tak, jak odchodzi noc, wichur, ulewa i zły duch.

\*     \*     \*

Oceniając z perspektywy czasu położenie ludności polskiej na dawnym Pograniczu, nie można pominąć milczeniem jednego ważnego momentu. W latach 1919–1920 pośród Polaków w Niemczech (i na Pograniczu) był żywy pęd do powracania do kraju i zajmowania placówek opuszczonych tam przez Niemców. Był to objaw zdrowy, jeśli idzie o Polaków przebywających w głębi Niemiec, którzy musieli emigrować z Wielkopolski i Pomorza, nie mogąc znaleźć pracy. Natomiast w odniesieniu do Polaków na Pograniczu, ta tendencja była bardzo groźna, gdyż równoła się dobrowolnemu opuszczaniu wiekowych pozycji. Jest w pewnej mierze zrozumiałym, że perspektywa przebywania w rodzinnym, wolnym kraju była pożądaną. Ale ponad te względy, natury raczej subiektywnej, wysuwał się fakt, że nieprzemyślana i pospieszna akcja przenoszenia się do Polski, przyczyniła się w znacznej mierze do utrudniania położenia tych Polaków, którzy pozostali na ziemi swych przodków. Wyrażało się to brakiem inteligencji, brakiem dostatecznej liczby działaczy polskich i powodowało, że trzeba było nowo tworzące się organizacje polskie, opierać na świeżych zupełnie podstawach. Jest wielką zasługą Prezesa Związku Polaków w Niemczech oraz V-tej dzielnicy tegoż Związku, ks. dr Bolesława Domańskiego, proboszcza z Zakrzewia, że rzucił hasło nie opuszczania ziemi na Pograniczu i pozostań. Dzięki temu, utrzymaliśmy w większości nasz stan posiadania po wioskach polskich i tu podkreślić trzeba, niezmiernie przywiązanie do swych zagród Polaków - rolników, którzy nie ulegli pokusie zamiany swych gospodarstw i przeniesienia się do Polski, ale mimo bardzo nieraz trudnych warunków utrzymali się na posterunku i ziemi polskiej nie oddali w ręce niemieckie. W świetle tego, co się działo w okresie międzywojennym, trwanie Polaków na obszarach polskich pogranicznych, pozostałych przy Niemcach, niezmiernie wzmogło nasz potencjał polityczny, gdy w 1945 r. przysłała sprawa wytyczenia nowych granic. Fakt, że żywioł polski na tych ziemiach istniał, rozwijał się i wykazywał swój dynamizm, mimo trudnych warunków bytowania, był najlepszym dowodem polskości tych terytoriów. Wskazywało to nadto na fakt, że i inne obszary po Odrę były przez Niemców sztucznie i na siłę niemczone. Siła zaś i przemoc nigdy nie stanowią słusznego prawa. Dlatego też w układzie stosunków polityki międzynarodowej, który spowodował zwrot tych ziem Polsce, ci Polacy – miejscowi, którzy przetrwali i nie ulegli, godni są najwyższej pochwały.